

Polityka

WARSZAWA

T. Nr 47 24-11-2001

KULTURA

„Bambini di Praga” we Współczesnym Hrabal wytrawny

Jakże nagle i jakże mocno pokochali Pragę i jednego z jej piewców! Pisarz z Gdańska tak wczytał się w nadweltauską prozę, że aż stworzył całą powieść-list do Bohumila Hrabala, świetnie wpisując się w styl adresata. Warszawska reżyserka wywiozła pół zespołu Teatru Współczesnego do Pragi, by nawdychać się tamtejszej atmosfery i przeszczepić ją na swoją scenę. „Czas już to powiedzieć – mamy do czynienia z sukcesem czeskiej kultury w Polsce” – obwieściła „Gazeta Wyborcza” z przesadą typową dla dzisiejszej doby, gdy media, miast relacjonować wydarzenia, starają się je kreować a priori.

JACEK SIERADZKI

Nie czyni wiosny (ani praskiej, ani jakiegokolwiek) jedna premiera, powieść, film czy koncert. Zawsze zresztą istniał u nas niezbyt liczny, ale wierny i aktywny klan hrabalofilów. Zawsze funkcjonowali zwolennicy prozy Josefa Škvoreckiego z jednej strony, Milana Kundery z drugiej, zawsze swoje wzięcie miały filmy Miloša Formana (jeszcze te sprzed emigracji), pantomimy Boleslava Polivki, poetycki kabaret spod znaku praskiego Semafora. Kółko zainteresowanych czeską specyfiką nie było przy tym zapewne ani większe, ani mniejsze od innych podobnych zgromadzeń; zrzeszało tych, którzy w swych wyborach kierują się nie modami, promocjami i „boomami”, a elementarną ciekawością tego, co tworzą inni, sąsiedzi zaś w szczególności. Żadne zmiany w tej mierze wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie nastąpią; nic nie wskazuje, iżby czeskie filmy miały wyprzeć z kin amerykański chłam, a Hrabal miał osiągnąć choćby część tej pozycji na rynku masowej wyobraźni, jaką cieszy się ubóstwiany Wharton.

To, że twórczość Bohumila Hrabala stała się inspiracją i punktem odniesienia dla Pawła Huelle i Agnieszki Glińskiej, bynajmniej nie wydaje się początkiem inwazji czeszczyzny na nasze artystyczne afisze. O czym więc świadczy?

By spróbować odpowiedzieć na to pytanie, warto się przyjrzeć, czego inscenizatorka spektaklu ze Współczesnego szukała w Pradze – tej prawdziwej i tej z kart prozy Hrabala. Na pewno nie spójnej fabuły, intrygi, akcji. Jej spektakl składa się z obyczajowych mini-obrazków, sytuacji ledwie naszkicowanych, pozbawionych wyraźnych point, nanizanych dość mechanicznie na fabularny sznurek. Czterech lotrzyków-kombinatorów na



„Bambini di Praga” w Teatrze Współczesnym w Warszawie. Od lewej: Leon Charewicz, Andrzej Zieliński i Marta Lipińska.



© JACEK DOMIŃSKI

Agnieszka Glińska, reżyser spektaklu. Laureatka Paszportu „Polityki” 1999 r.

ciąga prażan na fałszywe ubezpieczenia; ich klientela układa się w galerię portretów, wśród których jest wytwórca sztucznych kwiatów – miłośnik filozofii neoplatonickiej, ponury rzeźnik z rozwzdychaną żonką, drogistą-piroman, zwariowany malarz pokrywający każdą wolną powierzchnię bohomażami, panna, której potrzeba miłości sublimuje się w marzeniach o pieczeniu... byków i jeszcze kilkanaście (!) innych osób. Ich sylwetki nie są zbyt złożone i najwyraźniej nie jest naszym – widzów – zadaniem wnikanie w głębie ich psychiki bądź wyciąganie z przedstawionych sytuacji uogólniających wniosków. Mamy raczej zwiędzać ową galerię, przystawać przed kolejnymi konterfektami, uśmiechnąć się, zadumać, może wzruszyć. Wyjść z teatru z przeświadczeniem o nieskończonym bogactwie ludzkiej menażerii.

Wszystkie te niedostatki nie przekreślają jednak generalnego sukcesu „Bambini di Praga” we Współczesnym. Bo to, po co naprawdę Agnieszka Glińska podróżowała do literackich i prawdziwych Czech, zostało szczęśliwie przez granicę przewiezione. Chodzi o taki sposób uprawiania sztuki, w tym sztuki teatru – jeden z wielu uprawnionych – w którym rzecz nie polega na, jak mawia młodzież, „dołowaniu” czy targaniu trzewiami widzów. Który każe dostrzegać piękno codzienności, tej niewymyślnej, stoickiej, niewypindrzonej, ale też nie lakierowanej i nie dosładzanej. Chodzi o sztukę świadomą nieskończonej liczby śmieszności w ludzkich zachowaniach, ale patrzącą na nie z sympatią – nie ze złością. Sztukę afirmującą życie (przy czym afirmacja ta musi mieć wytrawny, niesłodki smak), wpisującą się w credo Bohumila Hrabala, który z wyznania był, jak wiadomo, „czcicielem Słońca w restauracyjnych ogródkach, smakoszem Księżyca przeglądającego się w wilgotnym bruku”.

Powiedzmy od razu, że co nieco utrudnia tę kontemplację pewien niedostatek wyrazistości prezentowanych sylwetek. Karykatura – nawet opromieniona serdecznym ciepłem – ma swoje wymagania, Glińska tymczasem sprawia wrażenie, jakby nie umiała się zdecydować, czy chce mieć na scenie postacie rysowane ostrą, groteskową, nawet ekscentryczną kreską, czy chce je uwiarygodnić i uzwyczajniać. Za to niezdecydowanie płaci nie-spójnością stylistyczną i pewnym rozmyciem przedsięwzięcia. Pamięta się niektóre etiudy – te najwyraźniejsze: napady wściekłości fryzjera (Jan Pęczek), trzy panienki w warsztacie sztucznych kwiatów świergolące jak kanareczki, nieodzywiającego się słowem rzeźnika (Leon Charewicz), wspomnianą adminkę byków (Monika Krzywkowska), nieśmiałą Urszulę (Agnieszka Suchora), która nawet w miłosnej ekstazie nie chce zdjąć... kapelusza. Aliści sporo wizerunków, także tych kreślonych przez aktorskie tuzy, zbyt łatwo wycieka z pamięci; przy całej poprawności i rzetelności brakuje im wyróżnika, błysku, oryginalnego znamienia, które przykuwałoby uwagę. Drażni też nieco dezynwoltura, gdy idzie o osadzenie w czasie; stroje i zachowania dzisiejsze sąsiadują z relikwiami epoki, w której powstawało opowiadanie. Trudno wyrokować, czy jest to świadome podkreślenie ponadczasowości tego świata, w którym, jak pisał hrabalolog Aleksander Kaczorowski, „kochać się i pić można zawsze: i za cesarza, i za pierwszego sekretarza” – czy to po prostu obojętność wobec historycznych realiów, tak częsta dziś w teatrze.

Wszystkie te niedostatki nie przekreślają jednak generalnego sukcesu „Bambini di Praga” we Współczesnym. Bo to, po co naprawdę Agnieszka Glińska podróżowała do literackich i prawdziwych Czech, zostało szczęśliwie przez granicę przewiezione. Chodzi o taki sposób uprawiania sztuki, w tym sztuki teatru – jeden z wielu uprawnionych – w którym rzecz nie polega na, jak mawia młodzież, „dołowaniu” czy targaniu trzewiami widzów. Który każe dostrzegać piękno codzienności, tej niewymyślnej, stoickiej, niewypindrzonej, ale też nie lakierowanej i nie dosładzanej. Chodzi o sztukę świadomą nieskończonej liczby śmieszności w ludzkich zachowaniach, ale patrzącą na nie z sympatią – nie ze złością. Sztukę afirmującą życie (przy czym afirmacja ta musi mieć wytrawny, niesłodki smak), wpisującą się w credo Bohumila Hrabala, który z wyznania był, jak wiadomo, „czcicielem Słońca w restauracyjnych ogródkach, smakoszem Księżyca przeglądającego się w wilgotnym bruku”.

Brakuje takich czcicieli w sztuce kraju na północ od Sudetów pełnej frustracji, złości, „dołowań”. Ktoś przeto musiał ich zastąpić. Życiodajny może być ten import i wdrażać nań podatki lub cła.